



ELIZA ORZESZKOWA

Bóg wie kto


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

ELIZA ORZESZKOWA

Bóg wie kto

(R. 1863)

...A teraz opowiem z dziejów wiosny owej historyjkę śmieszłą.

— Jak to — dziwisz się — pośród tragedii takiej — śmiech? O, moja droga, życie jest zlepek gliny i marmuru, uplotem sznurów pereł i sznurków koralu.

Perłowe gamy śmiechu nad koralową strugą krwi, cień nocy na jutrzni porannej, cień grzechu na szacie anioła, na złotogłowie łyzy — skaczący i ubielony kłown w ponurej celi smutku. Wszystko bywa i bywa razem, w jednym momencie czasu — w jednym sercu ludzkim.

Pewien pisarz słynny, ilekroć kreślił słowo: życie, tylekroć obok umieszczał w nawiasie inne: galimatias.

Galimatias taki, że niech już w nim samo tylko oko Boże rozróżnia glinę od marmuru, rdzę, która plami płatek białej róży, od spalonego w żarach słonecznych jej serca, śmiechem dzwoniące perełki — od sznurów koralu, ciekących kroplami krwi...

I to zwać jeszcze, że im serce głębsze, im klawiatura jego szersza i cieńsze, zwinniejsze palce, które klawiszami poruszają, tym częstszymi być w nim muszą spotkania chmur z błękitem, wybielonych kłownów z czarnymi smutkami, rdzy z białością, łez ze śmiechem...

*

Oj, byliśmy, były za śmiech ten nasz długo gderane! Oj, były żeśmy za ten nasz figiel gromione!

Bo i trzeba było młodości bujnej, lekkomyślnej, rozbawionej, rozpieszczonej, aby figla podobnego spłatać; bo i trzeba było szczęścia dużego, aby zań pokuty nie ponieść...

Dziewięć nas wszystkich było i miałby widok ciekawy, a śmiem powiedzieć — i ładny, kto by nas dnia owego w tym pokoju i naokoło stołu tego widział.

W początku marca powiedziano nam: robić szarpie i bandaże, szyć koszule jedwabne i konfederatki; a tu marzec końca swego dobiega — i jeszcze nie wszystko gotowe.

Wieleśmy już zrobiły. Żadna z nas już ani jednej szalki albo szmatki jedwabnej nie posiadała, bo wszystkie poszły na te koszule, co to się ich brud i robactwo nie imają. Skrzynki też sporej wielkości — z puchami szarpi, śniegami bielizny różnej napelnione. Ale konfederatki... Zaledwie przed paru dniami barankowe oszycie do nich przywieziono.

Nie nasza wina! Miasteczko dalekie — i nikt w nim dotąd o takich ilościach futerek barankowych ani słyszał. Z większego i jeszcze dalszego miasta sprowadzone spóźniły się, lecz gdy tylko przybyły, wnet we wszystkie strony rozleciały się po sąsiedztwie wici, na pilną, nagłą, wspólną, robotę zwołujące.

— Przyjeżdżajcie! Przyjeżdżajcie!

— Stefuniu, Oktuniu, Klemuniu, Maryniu, Wincusiu, Tosiu, przyjeżdżajcie! Przyjeżdżajcie i zabierajcie się do szycia!

— A może i pani hrabina przyjechać i szyć, szyć, szyć z nami zechce?

— Naturalnie! — odpowiedziała — z chęcią wielką, z radością!

— I śliczną Inkę, pani Teresy ubogiej, ale tak zacnej córkę, zaprosić trzeba?

— A jakże! Naturalnie! Czemuż by nie!

Do okrągłej dziesiątki jednej zabrakło, ale osiem przyjechało, a że do mnie przyjechały, więc byłam dziewiąta.

Przyjechały do mnie, bo ja wówczas — oho! — miałam skarb! Skarb ten miałam różany i złoty, który nazywa się miłość ludzka.

Nie wiem za co. Może za młodość, może za wielką żywość, może za to, że serce nosiłam na dłoni, takie gorące, że strumienie ciepłika dokoła rozlewało — i od tęcz, które w nim grały, roziskrzzone.

A może to i nie był skarb rzeczywisty, ale tylko w jego rzeczywistość wiara? Już teraz i nie zdołam w tej mojej pierwszej, bujnej młodości rozróżnić, co było prawdą, a co tylko wiarą, jeszcze przez żadne zmienne albo zimne usta nie zdmuchniętą.

Dość że wówczas, kiedy zaśmiałam się, wszyscy się śmiali, kiedy zapłakałam, wszyscy przybiegali pytać: „Czego? czego?“, kiedy oddalałam się, wszyscy wołali: „Nie odchodź“, a kiedy zawołałam: „Przybywajcie!“ — wszyscy przylatywali.

Przez całe przedpołudnie — powóz za powozem, powozik za powozikiem — przed ganek domu zajeżdżają.

Oktunia, zgrabna jak ulana, w amazonce i kapelusiku z piórkiem jak z angielskiego sztychu zdjęta, konno przyjechała.

Pani hrabina, piękna, silna brunetka, jedną historię tragiczną za sobą, a drugą przed sobą mającą, dziś wyskoczyła z karety śmiejąc się i czarne błyski dżetów, które suknię jej okrywały, na wszystkie strony rozsiewając.

Inkę matka przysłała wózkiem jednokonnym, przez chłopą w baraniej czapie powoznym.

Niewiele przed południem wszystkie byliśmy już zgromadzone w różowym pokoju.

Salonik nieduży, do większego przylegający i taki różowy jak młodość moja. Na różowość młodości mojej poczynały wypływać nieśmiało jeszcze pełzające lub szybko przelatujące chmurki, ale w pokoju firanki u drzwi i okien, obicie na sprzętach, arabeski na ścianach — różowe. Tylko przez dwa okna zza festonów firanek szare niebo marcowe i szara mgielka marcowego deszczu zaglądały, sprzecząc się z kwiatami. Bo tu i ówdzie, na gzymsie kominka, na etażerkach, stołach, pomiędzy białymi kolumnkami, zdobięcymi biurko staroświeckie, w wazonach i wazonikach — rośliny kwitnące. Oprócz kwiatów na gzymsie kominka jest jeszcze kot czarny, który u ram wielkiego, męskiego portretu w kłęb zwinięty śpi, aż chrapie. Przez okna w szarej mgielce widać drzewa, drzewa, drzewa, a ponieważ bezlistne są jeszcze, więc wśród nich ciemne od wilgoci szlaki alei, alei, alei...

Ciasno dziś w różowym pokoju. Przeciwko zwyczajowi pośrodku stoi długi stół, a dokoła stołu na dziewięciu różowych krzesłach siedzimy wszystkie dziewięć, różowe od powitań serdecznych i serdeczniejszego jeszcze nad nie zapału.

Na wysokich poręczach krzeseł, już i wówczas staroświeckich, na kanapie rozłożystej, na bocznych stolikach, etażerkach, biurku — rozwieszona, rozłożona materiały wełniane trzech kolorów. Białość, amarantowość i szafirowość.

Pokój wygląda jak wielkich rozmiarów sztandar narodowy. Pstro i pełno. Tak pełno, że ilekroć która z nas wstanie i po pokoju się obróci, tylekroć coś białego, amarantowego lub szafirowego skądś ściągnie i za sobą pociągnie, a inne przestrzegają: „Ostrożnie! Kaszmir splamić się może!“ Bo z kaszmiru tych trzech kolorów szyją się konfederatki. Jak w nich partia ładnie wyglądać będzie!

— Jak łan kwiatów! — poetyzować zacynam.

— Jak maki z bławatkami zmieszane — rumieniąc się i z cicha poetyzowanie kontynuuje Stefunia.

Mężatką już jest od lat kilku i panią dużego, bogatego domu, a nic jeszcze nie zdołała choćby o pół tonu podnieść skali jej nieśmiałego głosu ani od częstych rumieńców ochronić twarzy — białej wśród bardzo czarnych włosów.

— Nie jak maki ani żadne inne kwiaty, ale — jak wielki trzykolorowy sztandar wyglądać będą!

Słowa te z szerokim gestem ramienia wymówiła najwyższa spomiędzy nas wzrostem i oczy najsmutniejsze, a czoło najbledsze mająca Klemunia Koniecka. Najpoważniejsza też spomiędzy nas była może dlatego, że najstarsza, bo miała już lat aż dwadzieścia pięć.

Z drugiego końca — cyfra wieków naszych zamykała się osiemnastoma latami ślicznej Inki.

W pokoju pstro, ale na nas pstrocizny żadnej nie ma, o, nie! Żałoba narodowa. Suknie czarne, ozdoby z dżetu lub polerowanej i kunsztownie wyrabianej stali. Włosów tylko cała gama: od kruczoczarnych, przez różne odcienie złota, do jasnych jak len.

Zrazu duży był gwarek głosów. Oglądanie materii, chwalenie, ganienie, narady, zwrócone do mnie zapytania.

— Ile ich uszyć mamy?

Krótko, lecz z dumą odpowiadam:

— Sto.

Aż krzyknęły:

— Tak wiele!

— Daleko więcej trzeba. Części tylko podjęłam się za siebie i za was.

— Ano dobrze! Zrobi się! Szkoda nawet, że nie więcej. Zawiniemy się i dzień, dwa, trzy...

— Tydzień, dwa! — reflektuje Klemunia.

— Niech sobie i tydzień albo dwa! Kamieniem zasiądziemy i będziemy szyć, szyć, szyć...

Zaczynamy tedy! Dobrze, ale nim szycie rozpocząć, skroić wprzód trzeba. Według formy — tej oto! Która najlepiej kroić umie? Wincusia umie! Oto nożyce, prawdziwie krawieckie, doskonałe!

Rosła, zgrabna, hoża, stalowymi szpilkami u szyi, pasa i włosów błyskająca Wincusia, w odważnej i rażnej postawie u stołu staje, materię przed sobą rozkłada i — czach, czach, czach!

Okazuje się, że nieosobliwie umie. Już parę kawałków kaszmiru zepsuła, lecz to jeszcze mała bieda.

— Dużo go jest, więc choćby go trochę i napsuła... Ale baranków, wiecie co, że baranków zdaje się... mało...

Westchnienia trwożne.

— Tak, tak, bardzo ich jakoś mało! Broń Boże, nie wystarczy.

Wincusia tonem żalonym:

— Boję się! Niech kto inny.

Ba! łatwo powiedzieć! ale kto?...

— Może pani hrabina umie?

Wstrząsnęła się przecząco, tak że aż czarne błyski dżetów dokoła siebie rozsypała.

— Jak żyję, nie kroilał nic!

— Oktuniu! Może ty...

Amazonka, igłę z nicią przez kaszmir przewlekając i głowy jasnozłotej znad roboty nie podnosząc, głośno na cały pokój, na nutę słynnej wówczas arii: *Rachelo, kiedy Pan w dobroci niepojęty* — zaśpiewała i zatrelowała:

— Nie u-miem — nie u-miem — dajcieee-mi świecę-ty — pooo-kój!

Marylki Jaroszyńskiej zawołać, panna służąca to jest, której trzej bracia do partii idą. Ufać jej można, jak zresztą całej służbie.

Przywołana wbiegła. Sukienka w żałobne kratki, głowa w loczkach, żywa, fertyczna, śmiała. Dowiedziawszy się, o co chodzi, okiem znawczyni futerka barankowe siwe i białe obejrzała, po czym ze wzruszeniem ramion:

— I to ma do stu czapeczek wystarczyć, jeszcze takich kwadratowych! Żarty chyba! Ledwie może do sześćdziesięciu wystarczy.

— Jezus, Maria! Co ty wygadujesz, Marylko!

— Bóg wie, co pleciesz!

— Nie znasz się!

— Nieszczęście przepowiadasz...

— Tu żartów nie ma! To byłoby nieszczęście!...

— O nowym sprowadzaniu ani myśleć!...

— Gdzież tam! Czasu już nie ma...

— Krój, Marylko! Zaczynaj krajać! Zobaczysz, że wystarczy...

Ręce błagalnie złożyła i głosikiem cienkim zawołała:

— Boję się! Jak mamę kocham, nie wystarczy, a potem panie powiedzą, że źle wy-
miarkowałam i że to moja wina!

Nic tak łatwo do pasji doprowadzić nie może jak strach. Strachem zdjęła mię prze-
powiednia Marylki, więc wpadam w pasję i nie wołam już, ale krzyczę, wprost krzyczę:

— Pani Czernickiej tu poprosz. Powiedz, że prosimy bardzo, żeby przyszła!

— Czernickiej! Czernickiej! — powtarza za mną chór kilku głosów, a inne wołają:

— Czernisi! Czernisi na ratunek zawołać!

Żona to nadleśnego, w oficynie mieszkająca z mężem i z synem jedynakiem, którzy
obaj do partii iść mają. O, ta na wszystkim zna się! Gdy idzie o gospodarstwo i wszelkie
inne takie rzeczy, wszystko robić umie i robi gorliwie, sumiennie.

Wchodzi. Wysoka taka, że my przy niej liliputki, a taka od góry do dołu cienka
i równa, że nic gładko wyprzedziona przypomina. U szczytu główka mała, z małą twa-
rzą żółtą i małymi oczkami czarnymi, a z tyłu głowy ubożuchny warkoczek, spiralną
linią sterczący nad włosami, tak wygładzonymi i błyszczącymi, że zdaje się być bardzo
obcisłym czepeczkiem z czarnego atlasu. Czarną suknię na sobie ma i na czole pod czar-
nym atlasem włosów zmarszczki bardzo sympatyczne, bo o jakichś pocziwych troskach
i trudach opowiadające, wyraźnie opowiadające.

Ciekawie na nas i na robotę naszą spogląda i wezwaniem uradowana, z uśmiechem
kłania się na wszystkie strony. A z naszej strony zgiełk wykrzykników:

— Czernisiu, ratuj! Oto baranki!... Sto konfederatek uszyć! Zmiluj się, zrób tak, aby
wystarczyło! Popatrz, pomiarkuj, wymierz, skrój!

Patrzała, miarkowała, na wszystkie strony baranki obracała milcząc. Zły znak, że mil-
czy. Żaden Grek w obraz Pytii trwoźniejszego wzroku nie wlepił, niż nasz był w tej
chwili.

— Cóż? Jak pani Czernicka o tym myśli?

— Co myślisz, Czernisiu?

A ona z zastanowieniem i tonem uroczystym odpowiada:

— Nic nie myślę. I nic teraz ostatecznego nie powiem. Straszyc nie chcę i obiecanek-
-cacanek nie lubię. Może wystarczy. Może nie wystarczy. Dobrze miarkować i wymiar-
kować trzeba. Ale — że zrobię wszystko, co w możliwości człowieczej jest, o tym panie
upewniam, bo przecież to nie dla kogoś tam jednego, ale i dla szczęśliwości publicznej
roboty.

Lubiła czasem Czernisia mówić górnio i tę „szczęśliwość publiczną” jakoś tak sama
sobie wymyśliła, bo ilekroć dwa te wyrazy wymawiała, stawała się trochę rozrzewniona
i zarazem uroczysta.

— O nożyczki proszę...

— Są! Są. Oto są! Moja Czernisiu, moja złota, miarkuj, rozmiarkowuj!

Ciężar nam wszystkim z piersi spadł. Już kiedy Czernisia czymś się zajmie i o coś się
postara...

Przy naszym stole z krajaniem swoim zmieścić się nie mogła, więc gdy przy bocznym
stoliku, różne fraszki i fatalaszki z niego zdjawszy, nad górą barankowych futerek stanęła,
to zdawać się mogło, że różowe tło pokoju przerznięła kresa czarna i długa, u szczytu
w kropkę ze sterczącym ku górze ogonkiem zaopatrzona.

Milczenie na długo różowy pokój zaległo; tylko w nim osiem par rąk z igłami w pal-
cach — to podnosi się nad pochylone głowy, to opada i dwoje nożyc to otwiera się,
to zamyka, aż czasem zgrzyta. Nożyce Wincusi działają w tempie spiesznym, Czernisi
w powolnym, ostrożnym. Patrzymy czasem na nią, gdy czynność krojenia na chwilę za-
wieszając przypatruje się rozłożonej na stole sztuce baranków, wzrokiem ją przemierza,
z palcem do ust przytkniętym rozmyśla, rozważa i dobra nadzieja do serc nam wstępuje.

Nadzieja! Tej pełne byłyśmy nie tylko co do oszyc u kwadratowych czapek. Najróż-
niejszymi głosami śpiewała ona w wiośnianych głowach naszych, które dotąd czubkami
fryzur zaledwie wychyliły się na świat zawodny, okrutny i w sercach naszych gorących,
aż wrących, które brzegami warg zaledwie ostrych brzegów pucharu jego dotknęły.

O, młodości...

Śnie na kwiatkach,

Śnie mój złoty...

Czymże są kwiaty młodości? Marzeniem, co więdnie w jesieni. Czym jej złoto? Nadzieją, co w ogniu życia topiona po drogach jego z serca wycieka.

Za oknami szary deszczyk marcowy mży i mży; z przeciwnego końca domu dochodzą czasem brzmienia męskich głosów niewyraźnie i na długo milkną. Cisza.

W ciszy różowego pokoju, o jaskrawości trzech kolorów na wszystkie strony rozrzuconych, rozległ się przyciszony, z głębokim, piersiowym brzmieniem głos kobiety, który mówić zaczął:

O, matko Polko, gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy geniuszu świetność,
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego
Dawnych Polaków duma i szlachetność...

Z robotą i rękoma na kolanach opuszczonymi, z bladym czołem naprzód nieco podanym Klemunia Koniecka mówiła wiersz wszystkim nam dobrze znany, przez wszystkie prawie na pamięć umiany. Nie deklamowała — mówiła. Mówiła powoli, z cicha, spokojnie:

Wcześniej mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza:
By przed katowskim nie zbladnął obuchem
Ani się spłonił na widok powroza...

Mówiła powoli, z cicha, spokojnie. Tylko w głębokim jej głosie pobrzmiwały czasem nuty bólu i smutku, a w siwych źrenicach, które spod wypukłego czoła kędyś w oddali tkwiły, płonął ogień spokojny, równy, silny.

Zwyciężonemu za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiety
I długie nocne rodaków rozmowy...

U szyi jej na czarnym staniku połyskiwała ramka stalowa obejmująca portret Kociuszki.

Szyć nie przestając, wiersza na pamięć umianego słuchałyśmy tak, jak gdybyśmy po raz pierwszy w życiu go słyszały: z przyśpieszonym biciem serc, z wilgocią na rzęsach. Hrabina westchnęła głośno; może o swoich dwóch synkach malutkich pomyślała. Oktunia szepnęła:

— Mój Stasik maleńki...

Wtem — u bocznego stolika zagrzmiało, runęło, jakby się trąba nad gruzami zburzonego Jeruzalem rozległa.

To Czernisia nos utarła. A potem przez chwilę jeszcze wielką chustą lży po twarzy ciekące ocierała.

Aby zasiadaniem do stołu przerwy długiej w robocie nie sprowadzać, śniadanie do różowego pokoiku przynieść kazałam. Na późny obiad to już do sali jadalnej pójdziemy, ale teraz, byle jak, byle co, byle czasu tracić jak najmniej! Co za szkoda, mój Boże, że człowiek, gdy ma coś lepszego i miłszego do roboty, bez jedzenia obejść się nie może! Niech tam w sali jadalnej panowie dziś sami jedzą, a my tutaj prędytutko! Panom dziś tutaj przychodzić nie wolno, bo swymi żartami, wiecznym swoim sprzeciwianiem się tylko by przeszkadzali.

Przyszli jednak. Trzech domowych było i czwarty gość. W przerwie śniadaniowej przyszli, gdy Oktunia, bezkresny tren amazonki swojej podniósłszy, do salonu przyległego wybiegła, przy fortepianie usiadła i silnym sopranem na cały dom zaśpiewała: *Rachelo, kiedy Pan w dobroci niepojęty...*

Gwar powstał, panowie weszli i śpiewaczkę otoczyli, prosząc, aby jeszcze co zaśpiewała. Więc nastąpiły *Les adieux* Schuberta, i *Bywaj, dziewczę, zdrowe, Ojczyzna mię woła*.

A czas uciekał.

— Oktuniu, dość śpiewania! Szyć trzeba!

Zerwała się od fortepianu, w trenie amazonki zaplątawszy się, o mało nie upadła, lecz zwinna jak sarna, z więzów się wywinęła i krzesła swego dopadłszy już szyje, szyje. A my panów nie tylko z różowego pokoju, ale w ogóle z pobliza swego wydalić usiłujemy. Niech sobie na drugi koniec domu idą, niech nam co prędzej z oczu schodzą, niech nam nie przeszkadzają.

Oktunia ani na mgnienie oka szyć nie przestaje, pełnym głosem, na nutę *Rachelo*, kiedy *Pan*, śpiewa:

— Niech dają nam święcę-ty — poooo-kój!

Nie chcą zrazu odchodzić, opierają się, proszą, aż na koniec ogłuszeni, zakrzyczani oddalają się, a w różowym pokoju znowu milczenie, szycie, ręce to podnoszą się, to opadają, czasem stalowa iskra na staniku lub w splotach włosów błysnie, czasem nożyce zazgrzytają.

Bo Wincusia i Czernisia bez przestanku kroją i kroją: pierwsza raźnie i szybko, druga — różową ścianę wciąż długą, czarną kresą przerywając, rozważnie, uroczyście.

Wtem turkot kół na dziedzińcu. Ktoś przyjechał. Tosia zarumieniła się, Ince igła z palców wypadła.

— Może wesoly Oleś! — żartujemy z pierwszej.

— Może pan Gustaw! — drażnimy się z drugą.

Ale że nic wcale oprócz niewyraźnych w oddali głosów i kroków dosłyszeć niepodobna, więc Inka podnosi na nas oczy i z najśłodszą swoją minką proponuje.

— Pójdę, dowiem się, kto przyjechał.

— Owszem, prosimy.

Wybiegła i rychło z greckim noskiem na kwintę spuszczonego powraca.

— Pan Burakiewicz przyjechał — mówi.

No, kiedy pan Burakiewicz, to nic wcale nas ta wizyta nie obchodzi. Z widzenia go tylko znamy, i to — rzadkiego. Sąsiad, ładny majątek w poblizu ma, ale panują jakieś tam przeciwko niemu uprzedzenia. Ważne to, że niezbyt dawno w strony te przybyły krewnych ani dawnych znajomych tu nie ma. Obcy i — Bóg wie kto. Ale ważniejsze jeszcze, że towarzyska strona jego niezmiernie wiele podobno do życzenia pozostawia. Elegansem podobno chce być i raz do kościoła przyjechał tak obficie jakimś okropnymi perfumami oblany, że pewna sąsiadka nasza, osoba słabowita i wielce trefna, zemdląła i z ławki kościelnej spadła, a modlący się gdzieś w poblizu marszałek Boniecki tak się rozkichał, że aż mu nos nieco spuchł. Napoleona III stale podobno nazywał Bonapart, na istnienie końcowego *e* w tym nazwisku na żaden sposób zgodzić się nie chcąc i często gęsto do mowy swej diabła mieszał, jako to: pał go diabli! niech go diabli porwą! diabli wiedzą, co to znaczy etc. I „szelmę” także mieszał. Ktoś słyszał go mówiącego: „Diabli wiedzą, co ten szelma Bonapart dla nas za pazuchą swoją chowa”, a raz zapytany, jak mu się jakaś panna podoba, odpowiedział: „Śliczna szelma jak sto diabłów!”

Człek tedy niewykształcony i nieubyczajony prostak. Ekonomski syn podobno czy coś podobnego. Bóg wie kto. Ale myśmy o tym wszystkim ze słyszenia wiedziały. Z interesami tu i ówdzie przyjeżdżał czasem, lecz tylko przez gospodarzy domu przyjmowany, gospodyniom ich nigdy przedstawiany nie bywał. *N'étant pas présentable*, do towarzystwa nie należał. Ale też można było powiedzieć, że się do niego wcale i nie garnął. Bezzenny, niemłody, żył na stronie, nikomu się nie narzucał, spokojnie sobie starzejąc i siwiejąc, gdyż parę razy spostrzegłszy go w kościele i pobliskim miasteczku, wiedziałyśmy, że ma srebrną siwiznę na głowie i wokół twarzy. A twarz ta mocno rumianą cerą właśnie do nazwiska mu przypadała, dwojgiem tylko oczu bardzo błękitnych i błyszczących wśród czerwoności ogólnej świecąca. Było to tak zupełnie, jakby kto w ćwikłowy burak wprawił dwie od rosy błyszczące niezapominajki i wszystko razem na srebrnej kądzieli położył.

Nic wcale tedy nie obchodziło nas to, że pan Burakiewicz za interesem jakimś zapewne do gospodarza domu przyjechał i szyłyśmy dalej, w robocie i milczeniu pogrążone, gdy nagle głos na uroczystą nutę nastrojony wymówił:

— *Memento mori!*

To Oktunia, ręce na kolana opuściwszy i żalonym wzrokiem po nas wodząc, słowa te pogrzebowe wymówiła i dodała: — Jak w klasztorze, gdy na *silentium* zadzwonią...

— Jak u kamedulów — szepnęła Stefunia.

— Dlaczego nie rozmawiamy? Rozmawiajmy!

Aha? Dlaczego nie rozmawialiśmy! Łatwo to powiedzieć: rozmawiajmy! Kiedy ręce niewprawne coś z wielkim staraniem i nie mniejszym zapalem robią, usta aż oddymają się lub aż zaciskają się z gorliwości, z wysilenia, a głowa im słów żadnych nie podpowiada.

— Przeczytajmy cokolwiek!

— Niech kto głośno poczyta!

— Dobrze! Ale w takim razie jedna para rąk od roboty się oderwie. No, niech tam! Godzinkę jaką, dwie — para rąk popróżnuje, za to innym przyjemniej pracować będzie.

Skoczyłam do sąsiedniego salonu, wzięłam ze stolika ogromnie wówczas czytywaną, rozrywaną broszurę, w której Edmund About dokonywał nowego podziału Europy i wyznaczał w nim szerokie miejsce Polsce wielkiej, potężnej, niepodległej. Powszechnie utrzymywano, że pisarz ten był powiernikiem, zausznikiem cesarza francuskiego Napoleona III i że, jak by pan Burakiewicz powiedział, Bonapart ten sam mu ją podyktował. Więc kombinacje polityczne szerokie i głębokie, zakreslanie nowych wcale granic państwowych, całkowite przemalowywanie mapy europejskiej — i kolorem najróżowszym z różowych wymalowano na niej przyszłość Polski. A kiedy *Bonapart* tak myśli, takie układa plany i żywi pragnienie, to już najpewniej tak się stanie, koalicja państw zachodnich na rzecz naszą się zawiąże i wszystkie te zmiany drogą pokoju albo drogą wojny przeprowadzi. I trzeba tylko, abyśmy sami rąk i serc nie opuścili, abyśmy w mężnej walce nie ustali, abyśmy jej sztandar jak najdzielniej, jak najwytrwalej rozwijali — a Zachód z pomocą nam przyjdzie, i triumf sprawiedliwości, wolności, triumf Polski, która od tak dawna za dwie te idee cierpi i walczy — radosne surmy i trąby rozgłoszą hymny i peany na wszystkie cztery strony świata rozgłoszą. Tak pisał na rozkaz podobno pana swego zausznik i powiernik Bonaparta. A gdy słowa pisania tego, żywym głosem odczytywane, rozlegały się po różowym pokoju, Boże! jaką radością skakały nam w piersiach serca, jakie gorące hymny i peany wyśpiewywały wiośniane nasze głowy! Na cześć wspaniałomyślnego i rycerskiego świata, na cześć Bonaparta i sprzymierzeńców jego, na cześć bliskiego, niezawodnego, ogromnego triumfu Polski hymny i peany wyśpiewywały głowy wiośniane i wrzące serca nasze...

A że potem te głowy i serca — tak zwiedzione! — przez życie szły i do mogił doszły, na świat i ludzi przekleństwa nie rzuciwszy — dziw!

Lecz wtedy — kiedy walce tej świętej i tak przez obcych nawet podniecanej dopomagać — to dopomagać, ze wszystkich sił, każdą krwią kroplą, każdą iskrą ducha! Cała krew nasza i cały duch nasz rwały się, pędziły do — dopomagania i szczęśliwe czyniłyby wszystko... Ale tymczasem nic jeszcze do czynienia nie było oprócz szycia.

Więc słuchając pieśni słynnego Francuza, cudnej pieśni, z węzowej gardzieli płynącej, szyłyśmy, szyły, szyły, czasem łzę rozrzewnienia z rzęsy ocierając, czasem twarze znad roboty podnosząc i porozumiewawczo zamieniając się zachwyconymi, rajsłkami uśmiechami.

Nagle — w drżący często od wzruszenia głos czytającej, w wymowne słowa francuskie wpadło podniesionym głosem wymówione jedno tylko słowo polskie:

— Zabrakło!

— Jezus, Maria! — krzyknęłyśmy wszystkie i zerwawszy się na równe nogi otoczyłyśmy Czernisnę, z której wyszło to słowo fatalne.

Z długimi, cienkimi ramionami wzdłuż figury długiej i cienkiej opuszczonymi, stała Czernisia zasmucona, zmieszana, a my, oniemiałe zrazu z konsternacji, załamywałyśmy ręce lub z desperacją niosłyśmy je ku głowom.

Więc tedy zabrakło!

— Do ilu zabrakło?

— Wykroiłam siedemdziesiąt osiem... już przy końcu coraz węższe, węższe paski kroilał... ale Panie Boże ratuj!... więcej nie wyszło. Do dwudziestu dwóch zabrakło!

Kłeska nie tak ogromna, jak przepowiadała Marylka, jednak kłeska.

Panie Boże ratuj! Bo innego ratunku znikąd nie widać.

Chyba do panów pobiec i poprosić, błagać, aby co prędzej do miasta posłali, do tego dalekiego... Ba! Czasu za mało... za mało... i jak tam jeszcze sprawi się ten posłaniec...

Niech która z nas sama pojedzie!

Łatwo powiedzieć! Każdej coś na przeszkodzie stoi i zawsze ten czas, ten czas! Łada dzień przecież wszystkiego od nas zażądać mogą, a tu — niegotowe! Stefunia mówi, że od męża swego wie, że łada dzień... a kiedy naczelnik organizacji tak mówi...

Bieda! Gorzka nawet bieda! Takiej drobnostki nawet nie móc porządnie zrobić! Wstyd! Wiemy, że winy w tym naszej nie ma, jednak wstydzimy się czegoś... może złośliwe żarty męskie z roboty niewieściej przeczuwając.

Kiedy tak biedujemy i środki ratunku wymyślamy, żadnego wymyśleć nie mogą, drzwi od pokojów dalszych uchylają się nieco i przez wąski otwór nieśmiało zrazu wygląda utrefiona ładnie głowa Marylki Jaroszyńskiej, a potem wysuwa się ze szczeliny całkowicie i dziewczyna, z filuternym jakimś ognikiem w oczach, do różowego pokoju wchodzi. W miłości własnej trochę zadraśnięta, trochę może za drzwiami podsłuchiwała, jak sprawa z barankami się rozstrzygnie i co Czernisia o niej powie, a teraz weszła i z cicha, spokojnie, lecz z czymś filuternym w uśmiechu i w oczach mówić zaczęła:

— Proszę pań, przez przedpokój teraz przechodziłam i futro pana Burakiewicza wdziałam... Takie śliczne baranki! Siwe, takie delikatne, od tych delikatniejsze... śliczne!

Aż policzek na dłoń opuściła z podziwu nad ślicznymi barankami pana Burakiewicza.

A my na wieść tę aż zadrzałyśmy od srogiej, piekającej, od zjadliwej pożądlivosti czy zazdrości. Jeżeli jest na świecie oskoma moralna, tośmy wtedy na pewno jej doświadczyły. Ot, człowiek szczęśliwy, który takie baranki ma!

— I całe takie futro barankowe ma? — głosami osłabłymi zapytujemy.

— Caluteńkie! — Marylka odpowiada, a filuterne ogniki w oczach aż żarzą się i uśmieszki po ustach jej aż skaczą.

— Niech panie pójdą i zobaczą, że nie kłamię — mówi.

To prawda. Żeby choć zobaczyć! Pójdźmy zobaczyć!

Wniosek uczyniony jest przez Wincusię, która z wielkimi nożycami w ręku nad stosem pokrojonych kaszmirów stoi, wszystkimi swymi stalowymi szpilkami, broszkami, klamrami błyska i wygląda bardzo energicznie.

— Pójdźmy zobaczyć! Pójdźmy!

Nie przez aklamację, bo nie jednomyślnie wniosek przyjęty został; Klemunia, Stefunia, hrabina i jeszcze ktoś z miejsca się nie ruszyły, ale pięć poszło.

Aby do przedpokoju dojść, trzeba było przez dwa duże i dwa mniejsze pokoje przejść. Szłyśmy. Pochód otwierała Wincusia, nożyce przez roztargnienie wciąż w ręku trzymając, potem dwoma parami Oktunia z Tosią i ja z Inką, a za nami w ariergardzie dybała na długich swych nogach Czernisia, czarną, długą kresę przesuwając po obrazach i zwierciadłach u ścian zawieszonych.

Zbitą gromadką skupiłyśmy się w przedpokoju dokoła wieszadeł, na których — o Boże miłosierny! — futro pana Burakiewicza z baranków siwych... takie śliczne...

Ciche wykrzyki i głośnie westchnienia. Żeby to którego ze znajomych panów własność była! Może byśmy wyprosiły, wyplakały... na klęczki choćby paść... A tak, nieznamy jegomość, Bóg wie kto... skąpiec też pewnie, ani myśleć o proszeniu... Myśmy wprawdzie wszystkie a wszystkie swoje suknie i inne ubiory jedwabne oddały... ale to co innego... kobietyśmy! A panów w ogóle o cokolwiek prosić, to próbować kamieniem gryźć... zwłaszcza jeszcze takiego... Bóg wie kogo!

Gdy tak biedujemy i lamentujemy, główka Marylki Jaroszyńskiej z ramion naszych się wysuwa... Nie wiedzieć, skąd się wzięła, bo z nami tu nie szła i później zapewne cichutko się wsunęła, a teraz aż loczki jej nad czołem od energii trzęsą się i ręce szeroko się rozkładają, gdy ogromnie rezolutnie mówi:

— Ja bym jedną połę ucięła — i już!

Skamieniałyśmy, zamarłyśmy z przerażenia, którym propozycja ta nas przejęła, ale potem wskrzesiłyśmy i poczęły zamieniać z sobą słowa cichutkie, szybkie, spojrzenia porozumiewawcze, palące... Aż przyszła sekunda, tak, na zegarze czasu zadzwoniła sekunda (jeżeli w ogóle zegar jakikolwiek sekundy wydzwania), w której kilka ust jednogłośnie i z determinacją jak śmierć stanowczą wyszeptano:

— Wincusiu, odkrój połę!

Wezwana, cała w błyskawicach swoich stalowych ozdób i w ognistych wypiekach, które na policzki się jej wybiły, jak jastrząb jaskółkę, jak chart zająca, jak podobno szatan duszę potępioną, futro pana Burakiewicza porwała i już je na stole przedpokojowym rozłożyła, gdy nagle zawahała się...

— Jakże to? Tak z wierzchem, z watą, z podszewką razem ciąć?...

Do Czernickiej się zwróciła:

— Czernisiu, poradź! Sama odkrój! Ty to porządnie przynajmniej zrobisz!

Sztuka byłaby u cudzego futra połą uciąć — porządnie! Więc też Czernisia obu rękami za głowę się schwyła.

— Święty Boże, święty mocny! Ja bym cudze futro... i jeszcze u takiego... On by mię potem, spotkawszy, wyłajał albo i wybił... I paniom też nie radzę. Tylko że rzeczywiście potrzebne, nie dla kogoś jednego, ale dla szczęśliwości publicznej potrzebne...

Otóż to! Dla szczęśliwości publicznej! W tym rzecz! I jej samej, Czernisi, mimo protestu oczy na futro pana Burakiewicza patrzą, jak czarne żużelki błyszczą.

Stawi jednak opór namiętnościom i z obu rękoma ku głowie podniesionymi, po wiele razy wyszeptując: „Święty Boże, święty mocny! A niech mnie Anieli Stróżowie strzegą i bronią” — szerokimi krokami z przedpokojem umyka i przez długą perspektywę innych pokojów kresą długą i czarną ku pokojowi różowemu szybko sunie.

A Wincusia z nożycami nad rozłożonym futrem jak dziób głodnego ptaka roztwartymi rozpaczliwie woła:

— Marylko! Pójdź, odkrój! Wprawniejsza... Gdzież Marylka?... — Ehe! Już jej i śladu w pobliżu naszym nie było. Zemknęła! Radzić i kusić, to radziła i kusiła, ale kiedy do czynu przyszło, znikła. Tak jak Czernicka zlekła się zapewne sztukę podobną płatać nieznanemu jegomościowi, brutalowi podobno, Bóg wie komu...

Więc Wincusia, mruganiem naszym ku niej i gestami zachęcającymi na duchu wzmocniona, na odwadze do szczytu najwyższego wzbita, mocno stopami oparła się o ziemię, ramieniem, w nożyce zbrojnym, dziwny jakiś gest wykonała i — czach, czach, czach!...

Od dołu aż do pasa cała jedna poła pięknego futra oderżnięta, z wierzchem, z watą, podszewką, ze wszystkim, co do niej należało. I tylko gdy futro na wieszadło powróciło, strzępy podszewki i kawałki waty z otwartej jego rany żałośnie się ku dołowi zwieszały...

W różowym pokoju było trochę sprzeczki pomiędzy tymi spomiędzy nas, które działały, a tymi, które z miejsc swych się nie ruszyły, trochę wewnętrznych wątpliwości o godziwość dokonanego czynu, trochę niepokoju w ruchach i zamyślenie na czołach, lecz bardzo wkrótce wygładziło się znowu jezioro. Co tam! Jakoś to będzie! Panu Burakiewiczowi stratę poniesioną można zwrócić. Zapłacimy, ile zażąda, i niech sobie inne futro kupi, a teraz mamy baranki! Mamy, mamy! I rzecz kapitalna. Reszta marność, czczość, przemijalność!

A Czernisia, siedząc przy bocznym stoliku, wierzch z watą od futra odpruwa. Pył dobywający się z prutych materii delikatną mgiełką jej małe oblicze przysłania, aż z mgiełki dobywa się głos:

— A jednakowoż nie wystarczy!

— Nie wystarczy! I to jeszcze nie wystarczy!...

— Do dwunastu pewno wystarczy, ale do jakich ośmiu — dziesięciu... zabraknie!

Ochłonęliśmy z żalu. Osiem na sto — odsetek nieduży. Niech już tam! cóż robić? Nie pójdziemy przecie drugiej poły panu Burakiewiczowi ucinąć!

Wtem na drugim końcu domu, kędyś w okolicach przedpokojem, jakieś niewyraźne stuknięcie, chody i nagle głosy męskie podniesione, bieganie, krzyki...

Źle. Minuta sądu i kary nadchodzi. Dotąd nie przyszło nam do głowy, że nadejdzie. Trochę dreszczów po plecach przebiega. Ale nic; z nisko pochylonymi nad robotą głowami siedzimy i szyjemy. Wincusia, krojąc kaszmiry nożyczkami, tak zgrzyta, że w uszach świdruje, Czernisia porze. Milczenie. I tylko uszy ku stronie przedpokojem nastawione, nasłuchujące, co się tam dzieje. A tam zaczyna dziać się coś okropnego...

Otwierają się ze stukiem drzwi, Marylka z przestraszeniem na rozczwienionej twarzy wpada i z przyspieszonym oddechem mówi:

— Co to będzie? Co to będzie? Pan na służbę tak gniewa się, że niech Bóg broni... Każe mówić, kto to zrobił, a oni nie wiedzą... a pan myśli, że kłamią i coraz więcej gniewa

się... i Józef aż płacze.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy myśmy już z krzesel się zerwały. Nie, nie! Na służbę gniewu i wyrzutów niesprawiedliwych ściągać nie można! Nie można, aby przez nas poczciwy Józef płakał.

Trzeba iść, wszystko wyznać, pana Burakiewicza przeprosić, ile kompensaty pieniężnej żądać będzie, zapytać.

— Chodźmy!

— Chodźmy!

Więc naprzód winowajczyni, potem przez solidarność koleżeńską te, które w prześpiństwie czynnego udziału nie przyjmowały, za nimi Czernisia, zatroskana, ale i z zacięciem w czarnych oczkach, a na ostatku Marylka — kusicielka, jak kot przestraszony pod ścianami cichutko się prześlizgująca.

W drodze zaskoczyło nas pytanie, która do pana Burakiewicza pierwsza przemówi. Cóż? Gospodyni domu naturalnie... O, ciężka minuta pokuty i umartwienia. Ale nie ma co! Mają rację! Mnie wypada pierwszej głos zabrać przed tym jegomościa nieznanym, wielkim jakimś — Bóg wie kim!

Oktunia i Stefunia z obu stron szepczą mi przy twarzy:

— Ja z pomocą ci przyjdę!

A ja za sobą słyszę głosy innych:

— I ja! I ja! I ja! Wszystkie będziemy przyznawały się, przepraszały...

— I płaciły...

Drzwi z sali jadalnej do przedpokoju prowadzące na oścież rozwarte, znać po nich wielkie pędy, z jakimi tu ludzie wbiegali i wybiegali. A dokoła wieszadeł — piekło wre. Panowie i lokaje skupieni, osłupiali, pan Burakiewicz rozmachuje rękoma i krzyczy, gospodarz domu na służbę krzyczy, stary Józef czerwoną chustą oczy sobie z łez ociera, kredensowy pomocnik jego ciekawym głosem wrzeszczy, że jak Boga kocha, nie wie, kto to zrobił...

Wejście nasze, takie gremialne, sprawia dywersję i ten efekt wywołuje, że wszyscy milkną i patrzą, co to za taka procesja niewieścia idzie... A my prosto ku panu Burakiewiczowi zmierzamy i przed nim stajemy, to jest, ja przed nim stoję, a towarzyszkę moją za mną, jak mur, a za nimi jeszcze Czernisia i Marylka.

Stoję, dygam, rękę ku panu Burakiewiczowi wciągając. W tejże chwili gospodarz domu, wypadkiem zaszły bardzo rozniewany i wtargnięciem naszym aż do osłupienia zadziwiony, ulega jednak przyzwyczajeniu, rzecz można, nałogowi towarzyskiemu i aktu prezentacji dokonywa:

— Pan Burakiewicz — moja żona...

A pan Burakiewicz twarz ma czerwienią jeszcze niż zwykle i wśród niej oczy błękitne wprost słupem od zdumienia stoją. Zdaje się, że na widok tych jedenastu niewiast, nie wiedzieć czego przed nim zjawionych, o poniesionej krzywdzie na chwilę zapomniał. Z bardzo niezgrabnym ukłonem ręką czerwoną i szorstką ręką moją dotyka, a ja mówić zaczynam. Cicho mówię, bo mi w piersiach drży i w gardle dławi. Jednak mówię:

— Przyszliśmy przeprosić pana... bardzo, bardzo pana przepraszamy... bo to my... to jest, głównie ja, właściwie ja...

— Nie, nie, to my wszystkie... — odzywają się za mną chórem towarzyszkę moją.

— Ja... my... zrobiłyśmy to... uciłyśmy tę połę...

— Co? — jakby kto z pistoletu wypalił, wrywa się z ust pana Burakiewicza i widać po nim, że we wściekłość wpadać zaczyna.

— Cóż to? Panie dobrodziejki żarty jakieś ze mnie, kpinki, drwinki... niech diabli porwą...

Na widok tak rozszalonego nieprzyjaciela mnie głos zupełnie posłuszeństwa odmawia, ale wysuwa się za mnie Wincusia i głośno, rezolutnie rzecz przedkładać zaczyna.

Mowa jej zwykła jest, ale treści pełna. Krótko, lecz dobitnie opowiada, co i jak było i że to ona, ona właśnie ot tymi nożyczkami połę futra ucięła i teraz nożyczki te tu przyniosła na dowód (osobliwy zaprawdę dowód!), że nikt inny tylko ona to uczyniła, więc bardzo, bardzo przeprasza...

— Bardzo, bardzo przepraszamy! — rozlega się za mówiącą na różne tony chór niewieścich postaci, w najgrzeczniejszych pod słońcem dygach ku ziemi przysiada.

Teraz ja znowu występuję.

— Niech pan będzie łaskaw powie, ile to futro... ile mamy panu zwrócić... na odkupienie zepsutego futra... my najchętniej... zaraz...

I znowu dziewięć dygów z towarzyszeniem chóru.

— Bardzo pana przepraszamy i niech pan będzie łaskaw powie, ile za to zepsute futro...

Co myśleli i czuli, jak wyglądali świadkowie sceny tej, nie wiem, bo w nadzwyczajnym zmieszaniu swoim o istnieniu ich prawie zapomniałam, ale w pana Burakiewicza wlepiłam oczy nierozumiejące, zadziwione, bo dziać się z nim i na twarz jego wybijać się poczęło coś doprawdy niespodziewanego, nadzwyczajnego.

Na twarz jego, jakby nagle pobladła nieco, wybijać się poczęła pilna uwaga zrazu, potem radość... jakaś rozrzuwiona, promienna radość.

Już kiedy Wincusia przemawiała, historię konfederatek niewykończeniem na czas zagrożonych opowiadając, gniew zniknął mu z oczu i ukazał się w nich wyraz ciekawej, skupionej uwagi. A potem błysnęła radość. Nie wiem, czy ostatnie słowa nasze o pieniężnym wynagrodzeniu szkody zrządzonej słyszał, bo mu powieki dziwnie jakoś mrugać i wargi pod srebrnym wąsem drgać zaczęły, jakby przez gwałtownie cisnące się na nie słowa miotane. Aż wybuchnął:

— Tedy panie dobrodziejki w takim celu moje futerko pokiereszowały! Na czapeczki dla tych... co tam idą... za... za ojczyznę... Niech mię diabli wezmą, jeżeli nie jestem kontent, wdzięczny...

Stentorowy głos drzeć mu zaczął, wargi już wprost latały, a niezapominajki w burak ćwikłowy wprawione całe były oblane błyszczącą rosą.

— Do diabła ciężkiego! Czegóż ja tak irytowałem się tu, gniewałem. Przepraszam, bardzo przepraszam! Szelma ze mnie i — dureń! Ale teraz to dziękuję paniom dobrodziejkom, sto razy, sto tysięcy razy dziękuję... dziękuję... za to, że choć to, choć tym... choć tym kawalkiem sukmany mojej...

Przy ostatnich wyrazach rzucił się ku nam ruchem tak gwałtownym, że aż pomimo woli niecośmy się w tył cofnęły i począł nas jedną po drugiej w ręce całować. Pocałunki te jak wystrzały pistoletowe rozlegały się po przedpokoju, a w przestankach głos gruby, chropowaty, w tej chwili czułością jakąś, smutkiem jakimś przejęty, mówił:

— Bo to, panie dobrodziejki moje, stary jestem i sam już nie mogę... a syna nie mam... i obcy tu osiadłem, nikomu nie znajomy... tedy nikt mnie nie ufa, nikt ode mnie niczego nie żąda... a ja z serca i duszy rad bym... czymkolwiek, rad bym przyczynić się... służyć...

Już wszystkie nas jedenaście z kolei, bo Czernisię i Marylkę także, w rękę pocałował, gdy nagle myśl jakaś strzeliła mu do głowy. Znieruchomiał, przez parę sekund oczyma zamyślonymi po nas wodził.

— A może... — zaczął — może więcej potrzeba... może jeszcze uciąć?...

Ażeśmy się zatrzęśły od zdziwienia i od tajonej radości. Lecz nie wypada tak od razu propozycji zdumiewającej przyjmować! Więcemy chórem i pojedynczymi głosami wołały:

— Dziękujemy! Dziękujemy bardzo panu! Pan bardzo dobry! Ale nie możemy nadużywać... I bez tego wiemy, ile za taką szkodę...

— Co tam: ile, jakie tam: ile? To ja paniom dobrodziejkom wieczną wdzięczność... niech mię diabli porwą, jeżeli kłamię, że wieczną wdzięczność... i jeżeli więcej potrzeba... jeżeli, w ogólności mówiąc, czegokolwiek potrzeba...

Tu na czoło orszaku wysunęła się spomiędzy towarzyszek Oktunia i w amazonce swej zgrabna, śmiała, a na twarzy tak wyglądająca, jakby wnet z uniesieniem: „Rachelo, kiedy Pan” zaśpiewać miała, rzekła:

— Jeżeli prawdę wyznać mamy, to nam jeszcze do dziesięciu... oszycia barankowego brakuje...

— Brakuje! — wykrzyknął. — A co? Przeczula dusza moja, że jeszcze brakuje...

Zerwał z wieszadła smutne ruiny futra swego i nam je podawał, to jednej, to drugiej wprost w ręce wciskał.

— Proszę, proszę! Niech te szelmy barany szczęścia tego dostąpią... zaszczytu tego... i ja razem z nimi...

Wzruszone, zdziwione, onieśmiałe, cofałyśmy się, dygałyśmy nie śmiąc daru przyjmować... Hrabina pierwsza pochwyciła jedną z rąk, które go podawały i mocno ją ścisnę-

ła, po czym ta czerwona, szorstka ręka od jednej do drugiej dłoni niewieściej przechodziła, ściskana, wstrząsana, nie po światowemu, nie po salonowemu, ale po prostu, serdecznie. I mówiłyśmy ciągle:

— Czy podobna? Ależ niepodobna. Jakże pan bez futra pojedzie! Dziś tak chłodno! I nam aż tyle nie potrzeba!

— Nie potrzeba aż tyle! No, to drugą połę tylko... do dziesięciu czapek drugą połę... Pewno jak raz wystarczy...

W ręku Wincusi dziwnie jakoś w porę nożyce błysnęły i zadzwoniły.

— Ot i nożyczki są! — pan Burakiewicz zawołał. — Dzięki Bogu, są nożyczki... za pozwoleniem pani dobrodziejki...

Wychwycił z rąk Wincusi nożyce ruchem tak niesalonowym, że aż syknęła trochę z bólu i w mgnieniu oka resztki baranów swych na stole rozłożywszy: czach, czach, czach! Krojąc mruczał:

— Twarda bestia ten baran... ale i nożyce szelmy tępe... niech ich diabli...

A gdy piękne niegdyś futro żadnej poły już nie miało, zaczął pozostałość na siebie wkładać.

— Panie dobrodziejki mówią, że dzień dziś chłodny, ale ja sobie z tego kpię... Zdrów jestem... chwała Bogu, i mogę choćby w mróz bez futra A tu jeszcze piersi i plecy okryte...

Wciągnął na plecy to dziwne ubranie, które tak zupełnie jak niewieście *figaro* wyglądało, tym tylko od niego się różniąc, że było z rękawami i że z cięcia przez nożyce operacyjne zadanego zawisły mu ku dołowi bajecznie żalosne strzępy waty, sukna i podszewki.

Ale teraz otoczyli go panowie, wszyscy trzej domowi i gość. Gospodarz domu prosił:

— Niech sąsiad będzie łaskaw tak zaraz nie odjeżdża... Może obiad zjemy razem... Konie do stajni niech odejdą...

Nie przez grzeczność, nie przez zwyczajną grzeczność po raz pierwszy do domu swego pana Burakiewicza jako gościa zapraszał. W głosie jego czuć było wzruszenie.

A pana Burakiewicza zaprosiny te i ich serdeczność — rzecz dziwna! nie ucieszyły, lecz zadziwiwszy zrazu, rozlały po nim, owszem, zasmucenie czy zamyślenie. Ciszej nieco, niż mówił zwykle, odpowiedział:

— Dziękuję panu dobrodziejowi, bardzo dziękuję... ale odwykłem... a prawdę powiedziawszy, do takich kompanii i nigdy przyzwyczajony nie byłem... Jak dzik — odyniec pomiędzy drzewami leśnymi, tak ja samotny pomiędzy ludźmi chodzę i nikt mnie bratem ani swatem nie jest. Szelma dola taka... ale co robić? Kiedy Panu Bogu tak podobało się... i już niedługo... stary jestem... więc niedługo już na tym diabelskim świecie... Ale ot, o co ja pana dobrodzieja poproszę...

W obie ręce wziął rękę gospodarza domu i dziwnie prosząco w oczy mu swymi błyszczącymi niezapominajkami patrząc, niższym nieco głosem mówił:

— Niech panowie będą łaskawi w każdej potrzebie, takiej ogólnej... w każdej okazji takiej, co to grosza albo trochę pracy jakiej potrzeba, do mnie odzywają się... Ja chcę... ja żądam... czymkolwiek przysłużyć się... matce... bo przecież i ja... syn jej... a że los szelma pomiędzy samych obcych na ten świat mnie rzucił, to ja i nie narzucam się nikomu... a tylko... diabli wiedzą, co w sercu siedzi i spokojności nie daje...

Zaczęli go wszyscy czterej coraz ściślej otaczać, coraz serdeczniej zapraszać. Niech do nich przyjeżdża, niech się bliżej z nimi zapozna, oni także odwiedzać go będą.

Ale czerwonymi rękoma machać zaczął.

— Ej, nie! Ej, nie! Z duszy, z serca dziękuję, ale nie! Odwykłem... nie przywykłem... diabłami jak parobek sadzę... w samotności mnie najlepiej... ogródek swój pielęgnuję... drzewka to moje dzieci... dumki smutne moi goście. Żegnam państwa dobrodziejstwa, żegnam, dziękuję!

I szedł ku wyjściu w swoim dziwnym *figarze*, z żalosną frędzlą.

Ale my znowu tak bez niczego rozstać się z nim nie mogliśmy i przy drzwiach go dopadłszy, Boże drogi, czegośmy mu nie nagadały! Jakimiśmy go miłymi, serdecznymi słowy nie osypały! Zdaje się, że hrabina parę razy pieszczotliwie go po ramieniu pogłaskała... Zdaje się nawet — choć tego niezupełnie pewna jestem — że czerwone policzki jego, srebrnąwą kądzielą otoczone, od Oktuni, Wincusi i ode mnie dostały trzy całusy...

I potem dopiero, po odjeździe pana Burakiewicza, odbył się nad nami sąd, nie sąd parów, broń Boże, ale daleko wyższy, bo naszych i wszelkiego stworzenia panów.

A kiedy przy obiadowym stole bardzo już gderaniem nas nudzili i wyrzutami oburzali, Czernisia, która z nami dnia tego obiad jadła, wyprostowała na krześle swoją długą postać i z czarnymi oczkami jak żużelki gorejącymi rzekła:

— A mnie się zdaje, proszę panów, że kiedy pan Burakiewicz przebaczył i jeszcze podziękował, to i przez wszystkich przebaczone i zapomniane być powinno... Nie dla samych siebie przecież panie poję tę ucinają, ale dla szczęśliwości publicznej...

Miała słuszność Czernisia. Po dniu tym i po całej tej wiośnie nastąpiła u nas taka szczęśliwość publiczna, że aż — ha!

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/gloria-victis-bog-wie-kto>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, *Gloria victis*, Czytelnik, wyd. 1, Warszawa 1986

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Sylwia Hornowska.

Okładka na podstawie: [Leithcote@Flickr](https://www.flickr.com/photos/leithcote/), CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając [zbiórkę na stronie wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](http://wolnelektury.pl).